

Strzeмиński wypreparowany („Powidoki” - recenzja)

Film „Powidoki” w reżyserii Andrzeja Wajdy znają już uczestnicy Festiwalu Filmowego w Gdyni. Poznali widzowie Forum Kina Europejskiego Orlen Cinergia w Łodzi. Pozostali kinomani muszą poczekać na oficjalną premierę 13 stycznia. Będzie to szczególne wydarzenie, bo film wchodzi na ekrany po śmierci jego twórcy. W szczególnym położeniu znajduje się również recenzent – bo to ostatnie dzieło mistrza, podsumowujące dorobek życia osoby niezwykle zasłużonej dla polskiej kinematografii. To także łódzki film – reżyser po czterdziestu latach od „Ziemi obiecanej” wrócił do Łodzi, by zrealizować film o Władysławie Strzeмиńskim – ważnej dla tego miasta postaci. Recenzja „Powidoków” jest zatem pisana pod presją niezależnie od tego, jak bardzo obiektywny autor stara się nie myśleć o wszystkich uwarunkowaniach.

Andrzej Wajda dostrzegł w postaci Władysława Strzeмиńskiego figurę niepokornego artysty, który, broniąc wolności wypowiedzi, przeciwstawia się systemowi totalitarnemu. Ta heroiczna walka o ideały słabego fizycznie człowieka (Strzeмиński był inwalidą – podczas I wojny światowej stracił nogę, rękę i widzenie w jednym oku), który do końca się nie poddał, zafascynowała reżysera. O tym postanowił zrobić film – oto malarz, teoretyk sztuki, propagator awangardy odrzuca komunistyczny postulat socrealizmu i ponosi konsekwencje swojej decyzji. Oto opresyjne państwo „wymazuje” z rzeczywistości człowieka, bo pozostaje niezależny w myśleniu o malarstwie. Jaką wagę musi mieć postawa artysty, skoro potężny system widzi w nim zagrożenie? Tak brzmi – jak się wydaje – najważniejszy przekaz Wajdy związany z „Powidokami”. Sam reżyser dużo mówił na ten temat.

Niestety, konsekwencją takiego podejścia stały się uproszczenia, idealizowanie postaci głównego bohatera. Podczas seansu miałem w głowie informacje na temat skomplikowanego życia Strzeмиńskiego, a zwłaszcza jego małżeństwa z Katarzyną Kobro, a to, co widziałem na ekranie, tylko w niewielkim stopniu rymowało się z tą wiedzą. Sprawy nie ułatwia końcowy napis, że film jest tylko inspirowany biografią artysty i nie można go traktować jako rekonstrukcję faktów. Filmowa opowieść obejmuje niecałe dwa ostatnie lata życia Strzeмиńskiego i mam wrażenie, że została „oczyszczona” z wszelkich faktów, które mogłyby odwrócić uwagę widza od centralnego problemu. Jednocześnie mamy tu do czynienia z pewną niekonsekwencją, bo w wielu momentach film odwołuje się do naszej wiedzy o artyście (ekranowa historia nie jest „samowystarczalna”). Bez niej niektóre sceny i dialogi byłyby niezrozumiałe.

Jest zatem dobroduszny profesor z nieodłącznymi kulami (tzw. szczudłami), uwielbiany przez studentów. Jest państwo, które pozbawia niepokornego artystę środków do życia. Jest upokarzająca walka o przetrwanie, przymieranie głodem i śmierć. Nie ma rodzinnego dramatu, trudnego charakteru Strzeмиńskiego, wysłania córki do sierocińca, miłości do o wiele młodszej studentki. Mimo starań niewiele jest też sztuki – kilka obrazów, rysunki, Sala Neoplastyczna. Nie udało się przedstawić słynnej teorii widzenia. Strzeмиński dyktuje swoją książkę studentom, którzy mu pomagają w jej spisaniu. Miałem wrażenie, że grający główną rolę Bogusław Linda z trudnością wypowiada skomplikowane frazy. Wychodzi sucho, mętnie i nieprzystępnie niczym w filmach instruktażowych. Jaką w tej sytuacji widz ma szansę, żeby zrozumieć, o co z tymi „powidokami” chodzi? Czy zaawansowana technologia filmowa w rękach takiego mistrza obrazu jak Paweł Edelman nie mogła posłużyć do pokazania, czym one są? A nie jest to bez znaczenia, bo jak inaczej mamy zrozumieć bohatera. Awangardowa muzyka Andrzeja Panufnika podkreśla jeszcze ową dziwaczność artystycznej misji Strzeмиńskiego. Z drugiej strony – tworzy nastrój przygnębienia i beznadziejności, zderzając się z optymizmem komunistycznych hymnów.

Narracja prowadzi nas zatem ulicami Łodzi (udane kadry z kinem Tatry, Muzeum Sztuki przy Więckowskiego) między scenkami rodzajowymi w stalinowskim PRL na początku lat 50. XX wieku: pochód pierwszomajowy, sterowane obrady „wysokiej” komisji potępiającej i odbierającej prawa, wiec ideologiczny na uczelni, malarnia Państwowej Spółdzielni Spożywców z monstrualnymi portretami Stalina, rozmowy z „personalnym” itd. Wszystko to dosyć schematyczne i przewidywalne, dzieje się jakby za szklaną szybą, poza którą nasze emocje nie mają dostępu. Jesteśmy świadkami dramatu bohatera, ale po pierwsze przerobionego już w polskim kinie w wielu różnych wariantach, a po drugie ów bohater jest w jakimś sensie nierzeczywisty, bo wypreparowany z prawdziwego życia, uogólniony. Zabrakło psychologicznej prawdy. Szkoda, bo materiału na o wiele lepszy scenariusz biografia Strzebińskiego dostarcza aż nadto.

Jak w tej podwójnie trudnej (bo na szczudłach) sytuacji poradził sobie Bogusław Linda? Miał niełatwe zadanie, bo – jako się rzekło – Strzebiński u Wajdy jest zaledwie figurą w narracji na temat ofiary artysty złożonej na ołtarzu niezależności sztuki. Nie ma zbyt dużo do grania, prezentuje więc aktorstwo oszczędne. Znalazły się jednak w „Powidokach” dwie sceny, które mimo tej powściągliwości (a może właśnie dlatego) na zawsze pozostaną w pamięci. Pierwsza – kiedy wygłodniały Strzebiński wylizuje pusty talerz po zupie, której nie pozwolono mu zjeść – Linda, bezgłośnie operując niuansami, świetnie odegrał moment, w którym zwierzęcy głód pokonuje resztki godności. I jeszcze finałowa scena śmierci bohatera w witrynie sklepowej, którą miał urządzić. Wycieńczony przez gruźlicę artysta pada, demolując manekiny. Kamera filmuje konającego od wnętrza salonu, jadąc nisko wzdłuż leżącego na wystawie ciała. Nad nim zwisa ręka manekina, za szybą – obojętni przechodnie. Teraz rzeczywiście dotyka nas tragizm ludzkiego losu.

Bogdan Sobieszek